Nr. 11 We Lwowie, 1 czerwca 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXVIII ZJAZD ŁOWIECKI

ODBĘDZIE SIĘ W DNIACH 21 i 22 CZERWCA B. R. WE LWOWIE

W dniu 21 czerwca o godzinie 8·30 rano odprawioną zostanie msza św. przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety, poczem o godzinie 9·30, rozpocznie się premjowe strzelanie na strzelnicy wojskowej przy ul. Kleparowskiej (pistolety, tarcze stałe i strzelanie z broni małokalibrowej). O godzinie 17-tej odbędzie się WALNE ZGROMADZENIE członków M. T. Ł. w sali Towarzystwa Gospodarczego przy ul. Kopernika l. 20.

O godzinie 20-tej odbędzie się odczyt Dra Prof. Edwarda Schechtla z Poznania

O BOBRZE W POLSCE

z przeźroczami, w sali Kasyna i Koła literacko-artystycznego (ul. Akademicka l. 13). Dochód przeznaczony na fundusz zakupu pary żubrów dla Puszczy Białowieskiej.

Po odczycie wspólne zebranie w salach hotelu George'a na I p. wchód od ul. Kl. Tańskiej.

W dniu 22 czerwca od godziny 9-tej rano dalszy ciąg premjowego strzelania (tarcze ruchome, rzutki, strzelanie o mistrzostwo i rozdanie nagród).

Program i regulamin strzelania, który nie ulega żadnej zmianie, umieścimy w przyszłym nrze.

Na to doroczne Święto nasze zapraszamy wszystkie pokrewne nam Towarzystwa, zaś do Oddziału M. T. Ł. w Krakowie, tudzież do wszystkich Towarzystw myśliwskich członkami M. T. Ł. będących zwracamy się z gorącym apelem, by w Zjeździe tym wzięły udział, dla nawiązania najserdeczniejszych stosunków i zaznaczenia solidarności z Macierzą.

Pierwsza Polska Powszechna Wystawa Łowiecka w Poznaniu 1929 r. *

Otwarcie Pawilonu Łowieckiego

Dopełnione zostało dzieło zbiorowe, którego — wielkie nadzieje z niem łącząc — wyczekiwało całe społeczeństwo myśliwskie Polski, gdy w dniu otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej, Prezydent Rzeczypospolitej przybył do pawilonu łowieckiego, aby przecinając osobiście zieloną wstęgę u wejścia, zaznaczyć tem i zadokumentować doniosłość nietylko tej łowieckiej wystawy, ale i samego myślistwa w ogólnym zespole wartości kultury narodowej.

Na uroczystość otwarcia zebrali się w pawilonie łowieckim co najwybitniejsi przedstawiciele Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich z pp. Prezesem hr. Bielskim i St. Lilpolem na czele.

Prezes Wielkopolskiego Związku Myśliwych i Komitetu Wystawy Łowieckiej, p. ppłk. rez. Konstanty Chłapowski, po odegraniu fanfary łowieckiej przez straż leśną z Iwna, powitał wchodzącego ze świtą Pana Prezydenta wygłaszając piękne i znamienne przemówienie, które ze względu na znaczenie całej uroczystości, podajemy in extenso:

„Dzień dzisiejszy, to dzień wielkiego święta w murach zachodniej stolicy, Panie Prezydencie. Nie tylko dla tych co ukochali sercem patrjotów twórczość Polski, ale także dla całego świata łowieckiego naszej Najjaśniejszej, hen od sinych fal Bałtyku i kniej Wielkopolskich i Pomorza aż daleko pod niebotyczne góry Karpat i najdalsze wschodnie rubieże.

Za chwilę Wielkopolski Związek Myśliwych otworzy z radością największą podwoje pawilonu łowieckiego Pierwszej Polskiej Powszechnej Wystawy Łowieckiej na kilkumiesięczną gościnę braci z pod znaku św. Huberta, całej Polski i przybyszów z za wszystkich granic.

W dniu dzisiejszym prezentuje polski świat łowiecki Ojczyźnie, Europie i współczesnym dotychczasową sumę swoich pozytywnych wysiłków i realnej pracy od podstaw, opartej na wspaniałej tysiącletniej tradycji łowiectwa polskiego. Po ciężkich, wprost niesłychanych ranach, jakie zadały ostatnie wojny naszym ukochanym zwierzostanom, Tobie Dostojny Panie zawdzięczamy stworzoną mądrą Twoją i Twego Wysokiego Rządu przezornością ustawę łowiecką, której nam zazdrości nawet nasz sąsiad zachodni — ustawę, może jeszcze nie całkiem doskonałą, ale gwarantującą już dzisiaj w 90% opiekę zwierzowi i ptactwu polskiemu.

Bo jeżeli gdzie i kiedy, to na tem tutaj miejscu należy wypowiedzieć, że Stwórcę Boga Najwyższego należy narodom śwata chwalić w Jego stworzeniu.

Łowiectwo dzisiejsze — to nie łowiectwo czasów minionych, przynależne tylko do wybranych jednostek — łowiectwo XX w. to gałąź gospodarcza całego kraju zaopatrująca nietylko magistrale i środowiska Państwa Polskiego w zwierzynę, lecz eksportując setki a nawet miljony tysięcy sztuk zwierzyny za granicę państwa — podtrzymuje przez to wartość pieniądza naszego za granicą. Kiedy oczom Twoim Panie Prezydencie i Waszym Dostojni Państwo ukażą się za chwilę wprost niebywałe eksponaty naszych niebotycznych Karpat, wspaniałych łowisk Małopolski, Polski środkowej, Kresów Wschodnich i Zachodnich — to zapewne powiedzieć tu można z naszym nieśmiertelnym Adamem:

W samym środku jak słychać mają swoje dwory —
dawny tur, żubr i niedźwiedź puszcz imperatory —
około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry
i żarłoczny rosomak jak czujne ministry —
dalej zaś jak podwładni szlachetni wasale,
mieszkają dziki, wilki i łosie rogale —
nad głowami sokoły i orłowie dzicy
żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy.

Racz Dostojny Panie przeciąć zieloną wstęgę Pierwszej Polskiej Powszechnej Wystawy Łowieckiej, jako wyniku pracy całego świata łowieckiego Polski łączącej w sobie osobne działy paroży, wypchanych zwierząt, dział naukowo-dydaktyczny, dział literatury łowieckiej, dział sztuki malarskiej, oraz dział puszkarski, a my zebrani, reprezentanci łowiectwa z całej Polski, wołamy z głębi duszy wdzięczni Najwyższemu, że mogliśmy dożyć historycznego dnia dzisiejszego, — Cześć św. Hubertowi — Cześć Tobie Miłościwy Panie, Pierwszemu Łowcy Polskiemu, Dzierżawcy królewskich tradycyj Batorych i Władysławów, Opiekunowi polskich zwierzostanów".

Pan Prezydent podziękowawszy ze wzruszeniem za piękne słowa, dokonał otwarcia pawilonu, przecinając wstęgę, poczem z rąk p. Marji Kostro otrzymał znaczek pamiątkowy Pierwszej Polskiej Powszechnej Wystawy Łowieckiej ufundowany przez Wielkopolski Zw. Myśliwych. Oprowadzany przez p. Prezesa Chłapowskiego, zwiedził wraz z otoczeniem wystawę, dając wyraz szczerego zachwytu nad ilością i pięknem nagromadzonych trofei.

Wyrażając organizatorom głębokie uznanie i podziw, opuścił Dostojny Gość, żegnany łowiecką fanfarą, pawilon, który odtąd dla całej Polski otwarty, ma dać świadectwo głęboko zakorzenionego umiłowania szczytnej idei łowu, będącej podnietą do opieki i starań około najdłuższego zachowania w naszym kraju tych niezrównanych bogactw przyrody, jakie się dzisiaj po ciężkich, wojennych niepokojach, znowu radośnie odradzać poczynają.

* Zdziwieni jesteśmy tą tytulaturą, pierwszą polską powszechną była bowiem bezsprzecznie Wystawa łowiecka w r. 1927 we Lwowie. — Red.

Zwiedzenie Wystawy

Pawilon Łowiecki (proj. arch. Müller), stojący na zachodnich terenach Powszechnej Wystawy zbudowany i urządzony został dzięki staraniom i niestrudzonej pracy Zarządu Wielkopolskiego Związku Myśliwych z p. prezesem ppłk. rez. Chłapowskim, H. Górskim, Kostro i Leporowskim na czele.

Przystępujemy do zwiedzenia wystawy.

W jasnym westibulu, w efektownem otoczeniu trofeów krajowych i egzotycznych, umieszczono biust Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego w stroju myśliwskim — pierwszego w Polsce Obywatela i Myśliwego, Wysokiego Protektora Wystawy. Z otoczenia rzuca się w oczy imponująca skóra tygrysa, zabitego w Indjach przez Józefa hr. Potockiego, oraz kolekcja kłów słonich Leona Ks. Sapiehy. Tło zajmuje ściana ze zbiorami Zdzisława hr. Tarnowskiego z Dzikowa. Cząstka to zaledwie, ale cząstka wspaniała straconych w pożarze Dzikowa trofeów. Podkreślić należy z głębokiem uznaniem, że sędziwy ten i znakomity myśliwy, przyjechawszy umyślnie, sam urządzenia dopilnował. Temu też zawdzięczamy efektowny obraz całości jego wystawy w którym uwagę zwracają kapitalne jelenie, dziki, oraz interesujące prawdziwe piękne opisy niektórych z polowania zdarzeń, dodane do cenniejszych trofeów.

Ścianę przyległą o zielonym tle zdobią zbiory hr. Mielżyńskiego z Iwna, obok — wspaniałe kozły nadleśniczego Nowaka z nadleśn. Kąty, piękne parostki p. H. Górskiego i Muszyńskiego.

W dalszym ciągu do szczerego podziwu zmuszają kapitalne wieńce p. Dembińskiego z Przysuchy. Mijając trofea p. nadleśn. Metziga, zatrzymujemy się przy karpackim 14-taku Ordynata Taczanowskiego z Taczanowa, oraz przy jego ciekawych tablicach parostków, i przechodzimy do zbiorów Ks. Olgierda Czartoryskiego, wśród których wyróżnia się piękny wieniec wstecznika z Karpat.

Wspaniałe wrażenie czyni stoisko barona Groedla ze Skolego, który wystawia bogatą kolekcję bezkonkurencyjnych jeleni, dzików, liczne skóry niedźwiedzi, rysi, wilków — nie sposób wszystkiego wyliczyć. Imponujące są parostki kozłów ubitych w Suchej przez p. Glinkę. W dalszym ciągu wzrok zatrzymuje się na tablicy pięknych szabel dziczych Józefa Jabłonowskiego z Przyborowia, oraz na zbiorach braci Kurnatowskich, wśród których „Łoś“ Fałata odznacza się, jako najlepszy z pomieszczonych na wystawie obrazów myśliwskich. Marja hr. Szembekowa wystawia wieniec kapitalnego byka ubitego przez śp. Aleksandra hr. Szembeka w Perehińsku, poniżej zaś znajduje się tablica wybranych parostków.

Naprzeciw spotykamy najwspanialsze szable odyńca (rekord światowy 31 cm), który padł z ręki generała Szeptyckiego, obok kolekcja szabel p. Żółtowskiego z Nekli. Wybitną wartość posiada zbiór wystawiony przez p. Lehmann-Nitschego, obrazujący rozwój wieńca u jednego i tego samego jelenia przez 16 lat. Wymienić trzeba wystawę hr. Łąckiego z Posadowa, udekorowaną okazami dawnej broni. Zwraca uwagę tablica z 17 parostkami kapitalnych kozłów p. Witzlebena z Liszkowa.

Specjalny ustęp poświęcić należy stoisku Maurycego hr. Potockiego, urządzonemu przez p. Suchodolskiego, specjalnie przybyłego kustosza zbiorów z Jabłonny. Na pierwszy plan wybija się tu bezcenna, wspaniale utrzymana strzelba króla Stanisława Augusta, wyrobu ówczesnego puszkarza warszawskiego Kownackiego. Nie mówiąc już o bogactwie trofeów, wymienić należy szable odyńca, drugiego po Generale Szeptyckim najlepszego na całej wystawie. Niewątpliwą ozdobą zbiorów są oryginały Andriollego (żubr) oraz Kostrzewskiego, przedstawiające pełne humoru sceny z polowań. Przechodząc raz jeszcze koło westibulu, zauważyć należy bajeczne łopaty łosia kopalnego, oraz łeb żubra, własność Centralnego Tow. Łowieckiego, nie wspominając już strzeżących wejścia wielkich kilku niedźwiedzi.

Z kolei na prawo obok zbiorów hr. Tarnowskiego znajdujemy stoisko braci Barańskich z Żulina w Małopolsce, odznaczające się cenną kolekcją jeleni karpackich, dużym niedźwiedziem, łbem odyńca, oraz parą wypchanych rysi. Naprzeciw trofea Zygmunta hr. Kurnatowskiego z Gościeszyna, Dobiesława hr. Kwileckiego z Kwilcza, kolekcją broni dawnej, dwoma staremi sztychami udekorowanej, zbiory Wołyńskiego Towarzystwa Łowieckiego, w których wyróżnia się prócz rysi grupa puhaczy spreparowanych przez p. Borutę w Warszawie. Znajdujemy tu również jedyne na wystawie jarząbki. Obok trofeów Ks. Radziwiłła z Antonina, znajduje się kapitalny wieniec jelenia o 22 odnogach, trofeum hr. Sumińskiego, oraz łoś najlepszy z wystawionych. Przechodzimy do stoiska Prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych p. ppłk. rez. Konstantego Chłapowskiego, który na wielkiej ścianie prezentuje doskonały zbiór jeleni nizinnych, odznaczony jako najlepsza kolekcja wieńców z kresów zachodnich. Pozatem zwraca uwagę łeb żubra, liczne i piękne parostki w gustownem otoczeniu obrazów o treści myśliwskiej. Podkreślić trzeba, że do rzadkości należy u nas niestety zbiór płócien o treści myśliwskiej. W sąsiedztwie fenomenalny 14-tak p. Pętkowskiego z Kożuszkowa, ubity pod Bydgoszczą w ubiegłym roku. Stoisko udekorowane prócz kilku skór lamparcich mnóstwem fotografji przedstawiających sceny z wyprawy myśliwskiej do Afryki. Żałować należy, że nie zdążyły na czas wysłane z Afryki trofea, jakie stanowiłyby niewątpliwie najznakomitszy dział egzotyki, że tylko wspomnę kolekcję 22 łbów bawolich, z których jeden jest rekordowo największym na cały świat. Należy się jednak spodziewać, że około 1 czerwca trofea nadejdą i staną się jeszcze atrakcją wystawy.

Zwraca w dalszym ciągu uwagę wspaniały ryś p. Krzysztofa Wizego z Dzierznicy, dalej tablice zestawiające działalność Pomorskiego Klubu Myśliwskiego, 8 kapitalnie dobranych parostków sarnich p. C. Ramischa z Błędowej Woli, dalej parostki E. hr. Krasińskiego z Opinogóry, otaczające niezmiernie cenny obraz żubra z XVI. wieku, wreszcie szable Ks. Andrzeja Lubomirskiego

z Przeworska. Wśród wielkiej ilości naprawdę wspaniałych paroży sarnich, wyróżniają się przedewszystkiem kozioł Generała Raszewskiego ubity w Biedrusku, zbiór Joachima Jarochowskiego z Babicy, para parostków p. Galińskiego, dalej kolekcja p. Kiszakiewicza z Małopolski na sprzedaż). Staranny zbiór ułożony w ten sposób, że daje pogląd na odnowienie zwierzostanu po wojnie przysłany został z dóbr Rudnik, Hieronima hr. Tarnowskiego. Piękną jest również kolekcja p. K. Gozimirskiego z Poznania.

W dziale puszkarstwa wystawia niestety bardzo mało firm. Interesują tutaj przedewszystkiem licznie reprezentowane wyroby puszkarskie wykonane w kraju.

Dział literacko-naukowy, zawiera poza książkami o treści myśliwskiej zbiory pracowicie spreparowanych zwierząt łownych najróżniejszego gatunku. Podkreślić tu należy przedewszystkiem bardzo piękną kolekcję prac p. Kaczmarczyka z Złotego Potoku. Preparaty te szerzyć mogą znakomicie zaniedbaną wiedzę przyrodniczą. Szereg ciekawych eksponatów, że wymienię tylko cenny zbiór ptasich jaj, uzupełniono licznemi wykopaliskami. Bardzo ciekawe są preparaty p. nadleśn. Metziga, składajce się z wzorów domków myśliwskich, dwóch gablotek przedstawiających plastycznie systemy polowań itd. Wspomnieć jeszcze należy o nadleśnictwie Krośniewice, wystawiającem w woljerze przy pawilonie żywe bażanty swojej hodowli.

Zaproszone przez Wielkopolski Związek Myśliwych jury, a składające się z wybitnych myśliwych pp. W. Barańskiego, W. Bronikowskiego, K. Chłapowskiego, K. Gozimirskiego, inż. Kamockiego, W. Kostro, Radcy Kurnatowskiego, Andrzeja Księcia Lubomirskiego, nadleśn. Martyńca, nadleśn. Metziga, G. Pętkowskiego, Maurycego hr. Potockiego, Radcy Radońskiego i Generała Raszewskiego, podzieliwszy się na 4 komisje w dniach 10 i 11 maja, przyznało wystawiającym liczny szereg nagród, mających być nietylko premią, ale i zachętą do dalszych owocnych usiłowań w kierunku podniesienia zwierzostanów i uszlachetnienia praktyki łowieckiej.

Nagrody w postaci puharów, tarcz złotych, medali srebrnych i brązowych, ofiarowane zostały przez Wielkopolski Związek Myśliwych, Dyrekcję Powszechnej Wystawy Krajowej, oraz Wielkopolską Izbę Rolniczą. Nie sposób wymienić wszystkich nagrodzonych trofeów, tak samo, jak nie podobna nie ominąć w tej krótkiej przechadzce wielu cennych i godnych uwagi eksponatów. Wykaz ich dokładny zawarty został w specjalnie na ten cel wydanym katalogu Pierwszej Polskiej Powszechnej Wystawy Łowieckiej.

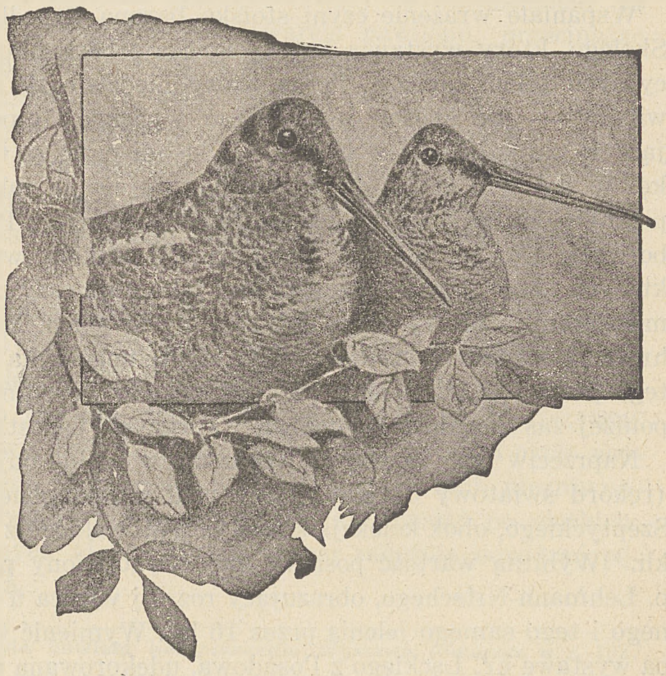
Jedno jest dziś niewątpliwe — dzięki niestrudzonej pracy organizatorów, których już wymieniałem, oraz solidarnej a bezinteresownej pomocy wszystkich nieomal wybitnych myśliwych Polski, wystawa nasza — możemy to z dumą powiedzieć — bije na głowę wszystkie ostatnie wystawy zagraniczne, tak bogactwem ilościowem, jak i jakością pokazanych zbiorów, będąc największą dotąd polską wystawą łowiecką.

Ci, którzy mimo zachęty nie przyczynili się do jej uświetnienia, przez nadesłanie swych zbiorów, sami dzisiaj widzą niesłuszność swego postąpienia. Należy wyrazić szczery żal, że ominęła ich sposobność otrzymania wysokich odznaczeń, będących z pewnością dla każdego cenną pamiątką udziału w tem wielkiem dziele zbiorowem myślistwa polskiego.

Należałoby jedynie życzyć, aby ten wspaniały pokaz ujrzeć zechcieli wszyscy interesujący się sprawą łowiecką, boć wiele on ma zadań i wielkie cele. W obliczu szlachetnej rywalizacji wystawców, zbudzi się podnieta do tem gorętszej i bardziej zamiłowanej pracy wśród hodowców, aby się później móc szczycić jej owocami. — Otwierając przed całem społeczeństwem polskiem podwoje naszego pawilonu, chcemy pokazać, że czcze są i bezprzedmiotowe zarzuty stawiane tak powszechnie samej idei łowu. że z tej właśnie idei nie tępienie — ale ochrona, nie wyniszczenie — ale opieka nad tem największem bogactwem żywej przyrody w naszej Ojczyźnie, jakiem jest bezwątpienia zwierzyna — budzi się i wzrasta. Tu na wystawie naocznie przekonać się można o błogich skutkach racjonalnego odstrzału, o wspaniałych zwierzostanach niesprowadzanych ale chowających się bezpiecznie w rewirach właśnie najznakomitszych myśliwych. Nie wszyscy bowiem w stanie są zrozumieć, że razem z namiętnością — i głęboką podstawę mające zamiłowanie idzie w parze, które na pogwałcenie dawno uświęconych praw i tradycji nie pozwala.

Możemy bez lęku i przed zagranicznymi gośćmi tę wystawę pokazać, mając pewność, że nabiorą z niej przekonania o wysokim i poważnym poziomie naszej rozwijającej się kultury łowieckiej.

Aleksander Janta-Połczyński



SEWERYN KROGULSKI

Pół wieku!

(Ciąg dalszy)

Przedewszystkiem godzi się tu wynurzyć prelegentom gorące podziękowanie za nader trafny na okoliczność jubileuszową wybór tematów, oraz zasłużone wyrazić uznanie za wysoki poziom naukowego i bibljograficznego opracowania tezy.

Profesor Domaniewski jako przyrodnik i zamiłowany myśliwy, obrobił swój przedmiot skalpetem uczonego i dał nam pierwszą w naszej literaturze łowieckiej „Geografję rozmieszczenia zwierząt łownych w Polsce". Zasługa to wielka!

Obecnie bowiem, dzięki tej geografji, szerszy ogół społeczności obznajamia się najszczegółowiej z historją, jaka to fauna ssaków i ptaków bytowała, rozwijała się lub zanikała — nietylko na całym globie — ale i na ziemiach Polski, oraz w jakiej kolejności er, perjodów i epok działy się te niezmiernie interesujące ewolucje w przyrodzie — wreszcie jaki z tych przeobrażań wytworzył się następny i współczesny stan rzeczy w łowiectwa dziedzinie wogóle a szczególnie u nas.

Głęboka z tej pracy płynie wiedza i nauka dla miłośników przyrody, zwłaszcza dla myśliwych-hodowców; zawiera bowiem podstawowe wskazówki, w jakich środowiskach dana zwierzyna znajduje dla siebie warunki bytowania i pomyślnego rozwoju.

Nadmienia też prelegent w odczycie swoim także o człowieku i o jego znaczeniu dla rozwoju fauny łowieckiej. Na podstawie badań uczonych stwierdzono fakt, że za czasów mamuta i nosorożca włochatego, człowiek już istniał i polował na te giganty.

Myśliwy pierwotny odgrywa w przyrodzie rolę przeważnie czynnika regulującego, taką samą, jaką spełniają zwierzęta drapieżne.

Człowiek staje się dla przyrody groźny wówczas, gdy staje na pewnym stopniu kultury i zaczyna wytwarzać cywilizację.

Wtedy to narusza on prawa puszczy, stwarza swoje własne prawa, kiedyś, później, mści się to na nim, ale narazie jest mu z tem wygodnie.

Naruszając równowagę przyrody, taki człowiek wpływa na rozmieszczenie zwierząt w sposób wybitny i to zarówno bezpośrednio jak i pośrednio. Bezpośrednio przez doszczętne wybijanie pewnych gatunków, czy też przez wprowadzenie nowych. Pośrednio przez zmianę naturalnych warunków bytowania zwierzęcia.

Pod tym względem i w Polsce człowiek odegrał kolosalną rolę. Wzrost ludności i wycinanie lasów w celu przysporzenia ziemi ornej, ogranicza ostoje nieodzownie potrzebne dla bytowania zwierzyny gatunków leśnych. Znika wskutek tego z ogromnych obszarów, zamieszkiwanych dawniej: żubr, tur, łoś, niedźwiedź i bóbr. Ostatni tur ginie w Polsce w wieku XVII; w tym czasie znika również i koń, co do którego powszechnem jest mylne mniemanie, że był on tylko gatunkiem stepowym.

Żubr a również inne większe gatunki ssaków, które w ograniczonych ostojach dość łatwo wytępione być mogły, zachowały się do ostatnich czasów jedynie dzięki myśliwym możnym, którzy ochraniali je po to, by móc na nie polować.

Ale z czasem ochrona możnych staje się coraz trudniejsza. Społeczeństwo poczyna domagać się wytępienia niedźwiedzi, jeleni i dzików.

Dążenia te trzeba było zwalczać, by ratować od zagłady to, co nam z pierwotnej przyrody przodkowie nasi pozostawili. Rozbrzmiewać wreszcie poczyna coraz szerzej po świecie hasło ochrony przyrody. Myśliwi i przyrodnicy oddawna wprowadzają je w czyn, walcząc o nie i to z wielkim wysiłkiem. „Czyjaż to bowiem zasługa — woła nakoniec prelegent — że mamy kozice w Tatrach, że żyją jeszcze ostatki bobra na Polesiu, że łoś do niew stanie pierwotnym".

* * *

Dr. Witołd Ziembicki, również myśliwy i ornitolog, krytyk bystry i bibljograf — znany pod kryptonimem W. Z., przedstawił nam z plastyką niezrównaną postać Jana Sobieskiego, „ostatniego w Polsce króla-rycerza, ostatniego w niej króla-łowcę", odzwierciadlającego tradycje starodawnych łowów polskich, któronowanego i najsubtelniej omówił je na podstawie obfitych materjałów źródłowych, a przeważnie na mnogich listach, kreślonych ręką króla do „Wci sercu" jego — Marysieńki.

Dowiadujemy się z nich m. i. też o myśliwskich psach, ptakach*) i broni myśliwskiej.

O broni myśliwskiej jedna tylko jest wzmianka w listach:

„Fuzya owa kochana od Mr. Chevallier**) złamała się".

Szczegół ten, z listu, pisanego w czasie wyprawy Podhajeckiej, dowodzi, że i w życiu obozowem nie zaniedbywał Sobieski ulubionej rozrywki myśliwskiej".

Z ustępów odnoszących się do właściwego polowania i opisujących sceny myśliwskie, przytacza autor z jednego z wczesnych listów z Żółkwi, gdzie na zamku, w rezydencji Sobieskiego, bawił często brat Marysieńki, Ludwik d'Arquien. Jedną z rozrywek było tam oczywiście myślistwo.

„Mr. le Marquis zdrów, chwała Bogu, nous nous divertissons quelque fois á la chasse", pisze Sobieski do żony, bawiącej w Warszawie.

Poza tą wzmianką wszystkie inne szczegóły o polowaniach, znajdujące się w listach Sobieskiego, pochodzą z lat 1681 i 1682".

Podczas objazdu swych dóbr jesienią 1681 r. pisze: „Jam tu stanął w noc w Potyliczu. Ale tu bawić nie będzie nad czem: takaż susza i zwierza nie masz, jako

*) Mowa o sokołach, względie innych ptakach łowieckich.

**) Brat Marysieńki, Ludwik d' Arquien.

i koło Pielaskowic. Dzisiaj przecie tu polować będzie można, a na noc gdzie do wsi pod Niemirów".

Z Daszawy, pod datą 17 października 1681 donosi: „Myśmy dziś dosyć mieli polowego szczęścia. Miedźwiedzi dwóch srogich i daleko większych, niżeli tak rok, i jelenia wielkości i rogów niezwyczajnych (ubiliśmy), czemu się Mr. l' Ambassadeur*) i jego kawalerowie bardzo dziwowali".

Na wstępie listu z dnia następnego tłumaczy się przed żoną, która widocznie robi mu wymówki z powodu przewlekającej się nieobecności: „...nie trzeba mieć za złe, (ile z dzieciństwa przyzwyczajonemu do pola i do wielkiego powietrza), że tego jesiennego już ostatniego pogodnego dla agitacji samego zdrowia zażyję miesiąca. Asekuruję, że mię nie niepogoda spędzi; bo im dalej ku zimie, i im bardziej list opadnie, tem lepsze będzie na wielkiego zwierza pole, ale tęskność jedyna do samej osoby Wci s. m". — Poczem zajmujący następuje opis umyślnie zbudowanego dworku myśliwskiego o czterych bardzo „wczesnych" pokojach. „...To nasz tu taki niewinny żywot, w którymby się żyć nie sprzykrzyło, gdyby tu można mieć Wć s. m., której wszystkie śliczności całuję i ściskam ze wszystkiego serca i duszy".

Następne wiadomości datowane są ze Stryja 24 i 25 października i dotyczą nieudałego polowania pod Podhorcami: „zgoniono czterech wilków młodych, ale bez uciechy".

Z Dzieduszyc kreśli Sobieski barwny, pełen humoru, ale i grozy obraz prawdziwie królewskich łowów: „Nagrodził-ci nam nieźle dzień dzisiejszy wczorajszą pustą knieją, bośmy zastali prawie ile drzew, tyle miedźwiedzi i dzików. Jeszcześmy wszystkiego nie porachowali, a już liczymy 9 miedźwiedzi a 10 dzików, tak małych, jako wielkich. Wymyślić, nietylko wypowiedzieć jest rzecz niepodobna, takiej uciechy.

Był Pan Rezydent Cesarski*) przy wszystkiem, który sobie takich rzeczy i imaginować nie mógł; a co największa, żeby ta była jeszcze bez szkody uciecha, gdyby nie PP. Francuzowie, którzy z fuzji szrótami i z pistoletów zabili mnie harta i Panu Koniuszemu, i brytana, co od P. Koniecpolskiego, szkodliwie postrzelili. Jednemu też janczarowi miedźwiedź głowę obdarł. Ostatni miedźwiedź był un monstre de la nature w niewidanej wielkości. Jużeśmy też do tego strzelać musieli, i ledwośmy mu radę dali. Brytanka od P. Gałeckiego tak złamał i przestraszył, że niewiedzieć gdzie w las zbiegł. JWP. Krakowski**) i P. Wojewoda***) byli przy tej uciesze. Jutro jeszcze więcej kniei z rana sprobójemy szczęścia, a na noc do Wci serca mego. Bo lubo by mi było najwygodniej, ciepło i wcześnie w tym domku myśliwskim wziąć lekarstwo, ale mi największy niewczas jest milszy przy Wci s. m."

*) Ambasador Fracji, Markiz de Vitry.

*) Jan Krzysztof baron Zierowski, poseł ces. w Polsce.

**) Kasztelan krak. ks. Dymitr Wiśniowiezki.

***) Nie wiadomo o którym wojewodzie mowa.

Nazajutrz z Międzyrzecza pisze król:

„Wczora z pola, albo raczej z kniei, w której było ze dwadzieścia miedźwiedzi, wyprawiłem Rajtara do Xiędza Sekretarza, pytając się o zdrowie Wci s. mego.

Droga i przeprawa do piekła gorsza; dlaczego i miedźwiedziom rady daćeśmy nie mogli, tylko trzech młodych psi zgoniły (sic), bo starych siła przez Dniest przepłynęło, za któremi psy co lepsze i dotych czas się po lasach tłuką. Na przeprawie zaś siłaby było i ludzi i koni i wozów potonęło, gdyby ich byli Tatarowie nie ratowali, którzy jeno obaczyli kogo w niebezpieczeństwie, zaraz się w wodę wrzucali: czegoby był żaden Polak ani Francuz pewnie nie uczynił"...

„Myśmy zaś byli na jednym takim brodzie, że nas woda prawie po kolana zabrała: to tylko dobrze na naszą stronę, że pogodę mieliśmy i noc widną"...

Zabawny ustęp przytacza prelegent z listu króla (1682), opisującego Marysieńce wizytę podkanclerzego, Dominika Radziwiłła, który psuł mu „wczasik", ustawicznem domaganiem się audjencji.

„...którą dawszy mu, zaprowadziłem go na winnicę i upoiłem, aby był zapomniał powtórnej znowu, której się jeszcze napierał. My co trzeźwiejsi, jechaliśmy w pole; on też lubo się ledwo na koniu osiedzieć mógł, tuż też za nami. Miasto tedy tego, cobym się miał cieszyć i szczwać, tom tylko uciekał od krzaku do krzaku przed nim. Bo bylem tylko stanął na moment, to zaraz... audyencya! Mówiłem po kilkakroć, żem teraz dał psom gończym audyencyą: nic to nie pomagało"...

Kończy się to biadanie tem, że: „dawszy pokój już i myśliwstwu, skryłem się tak dobrze, że mię już nie znalazł"... — Gdy już z pola zjechać musiano, nieustępliwy podkanclerz w kawalkadzie przed królem biegał, harcował i jutrzejszą audyencyą groził. „Alem się mu przecie kształtnie skrył. To moja taka niewola i taki tu*) wczasik"!

C. d. n.

*) Helcel Cz. III. nr. 90, r. 1682, 14 kwietnia. Zółkiew.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

W drugiej połowie października byłem tam znowu Tym razem miałem lepszy zespół ludzi ze sobą, a co najważniejsze tropiciela. Dostałem także później dobrego przewodnika, starego myśliwca, który znał okolicę na wylot, a fach swój uprawiał jeszcze wówczas, gdy broni palnej w kraju nie było.

Było to już po kilku rzęsistych deszczach. Step pokryła jasna zieleń młodych traw, a na zagłębieniach, dotychczas suchych — lśniły zwierciadła bajorów świeżej wody. Zwierzyna, jak antylopy, zebry i dziki, skoncentrowane do niedawna na pewnych punktach — rozlazły się po stepie. Z bawołów — ani śladu.

Gdym jednego dnia puścił się ku Szirze, mając wiadomość, że na wyspach pokazały się słonie (marsz dwudniowy) nie natknąłem na bawoły — ani tam, ani z powrotem.

Bawoły, które tu się wychowały, są teraz po lasach i na podgórzu; powrócą, gdy trawy zaczną kwitnąć mając się już gdzie ukryć. Te zaś stada, które tu z dalekich stron przypędziła posucha — są w drodze powrotnej do miejsc, skąd przyszły...

Tak mię objaśnił mój przewodnik. Przekonałem się później, że nie skłamał.

Dzięki jemu, zebrałem trochę szczegółów z życia tego wielkiego przeżuwacza, niestety nie tyle, ileby od takiego myśliwego-tubylca spodziewać się należało.

Porę rui, bekowisko — czy jakby ten okres godowy bawoła nazwać wypadało — oznaczył na początek pory deszczowej, a więc normalnie na listopad, na czas najbujniejszego rozwijania się wszelkiej roślinności, gdy paszy i wody wszędzie wielka obfitość, a bawół nie potrzebuje za niemi daleko szukać.

Wówczas trudno go wytropić. Cały ten czas spędza na niedostępnych bagnach, po zapadłych, gęstwą zarośniętych jarach górskich — w dżungli kolczastej, chroniąc się przed okiem ludzkiem, a także przed muchą tse-tse, która w tej porze najbardziej grasuje.

W zwykłych warunkach, stada bawole nie liczą więcej jak dwadzieścia do trzydziestu głów. Stado takie prowadzi zawsze najstarszy, a najsilniejszy byk, przez Anglików „leading bull" zwany.

W otoczeniu jego jest zawsze pięć do dziesięciu krów-matek, dorastająca młódź — dwu i trzylatki, oraz cielęta z ostatniego roku. To jest rodzina, harem.

Trafia się jednak często, że do stada takiego stara się przyłączyć obcy, wyrośnięty byk, asystuje haremowi, ale odpędzany przez właściciela krąży z dala tak długo, aż poczuje odwagę i siłę do zmierzenia się z nim w otwartej walce.

Że zacięte walki muszą staczać tacy zapaśnicy — nie ulega wątpliwości, ale walk takich — jak twierdził przewodnik — nikt z ludzi nie był świadkiem. Pewnem jest jednakowoż, że gdy takiemu intruzowi uda się pokonać przeciwnika, to ten już więcej do swego haremu przystępu nie znajdzie. Pędzony i bity, musi opuścić rejon, który dotychczas za swój uważał — i iść na tułaczkę.

Taki byk, zazwyczaj poraniony, staje się t. zw. samotnikiem; włóczy się samotnie. Wściekły — żeby tak rzec — na swój los, pragnie tę wściekłość wywrzeć na byle kim. Unikają go inne zwierzęta, obawia się go nawet lew, a najbardziej ludzie, uważając go za czarownika — „fiti", — który przywdział skórę bawolą. Ma on być tak niebezpiecznym, że niejeden myśliwy-tubylec woli spotkania z ranionym słoniem lub nosorożcem, aniżeli z „samotnikiem".

Mój przewodnik umiał dużo o zwierzętach opowiadać, ale tego, co mię najbardziej ciekawiło — nie wiedział; mianowicie nie mógł mię objaśnić, czy bawół-byk w czasie rui ryczy i czy ruja odbywa się na pewnem, obranem miejscu, lub też przygodnie — tu i tam. Nie wiedział jednak tego i tropiciel, ani inni myśliwi czarni, chociaż już od najmłodszych lat polowali.

Ze swej strony uważałem bawoła zawsze za mruka wydającego głos tylko w rzadkich wypadkach. Ale go kilkakrotnie słyszałem. Nie był to pełny ryk, ale — głuchy pomruk „leading - bulla" w nocy podczas żerowania, — prawdopodobnie głos ostrzegawczy — słyszałem krótkie przytłumione bekanie krów-matek zwołujących rozbiegłe cielęta, ciche beki małych cieląt gniecionych lub tratowanych w czasie ucieczki, a nawet rozpaczliwe ich wołanie, gdy ugrzęzły w błocie, pozostały z tyłu, a wreszcie — długi, żałosny bek śmiertelnie ranionego zwierza, gdy padał na ziemię, aby już więcej nie powstać.

Może te szczegóły wydadzą się zbyt błahe, aby je przytaczać, ale dla myśliwego polującego w egzotycznych, mało znanych krajach, możność rozpoznawania wszelakich „głosów puszczy", słyszanych czyto we dnie, czy też w nocy — stanowi niejednokrotnie atut pierwszego znaczenia.

* * *

Zniechęcony do bawołów — jak to zwykle bywa, gdy zwierzyny jakiejś jest „do licha", a mało szans do jej ubicia — powiedziałem sobie, że już nie poświęcę bydlęciu temu nawet jednego strzału — chybaby... sam mi wlazł pod lufę.

I wlazł! Wlazł dość rychło, — gdy podczas jednej wycieczki zabsorbowany rozwiązywaniem zagadki, jaką mi nosorożec w pokrzyżowanych tropach swoich z nocy pozostawił — o bawołach ani myślałem.

Byłem wtenczas wśród rzadkiego lasu. Przed nami otwierała się obszerna polana, zaledwie kiełkującą trawą pokryta, z kępami drzew bezlistnych, grup i grupek mniejszych krzaków dokoła. Na tej polanie, pod jedną z takich kęp ujrzałem bawoły. Kręciły się na jednem miejscu, obchodząc ją dokoła, ocierały swe boki i grzbie-

ty o wiotkie rozgałęzienia krzewów, jakby opędzając się w ten sposób od ataku jakichś skrzydlatych napastników.

Zatrzymałem się chwilę. Byłem pewny, że bawoły wnet pójdą dalej, a ja będę mógł podjąć na nowo rozpoczęte śledzenie.

Tymczasem bawołom ani się to śniło; nie przestawały dreptać dookoła zarośli i ocierać się o nie, aż zniecierpliwiony — a trwało to już kilka minut — postanowiłem przekonać się coby tego było powodem.

W braku szkieł, musiałem podkraść się do nich na możliwie najbliższą metę, chcąc coś zobaczyć. Teren był doskonały, a gęste — tu i tam — klomby krzaczków ułatwiały podchodzenie. Wiatr szedł wprost od strony zwierząt. Wnet też z 10-ką gotową do strzału — na wszelki wypadek — znalazłem się tuż za jedną taką ścianką.

Jak dotychczas skradałem się zgarbiony, aby kryć głowę, której krzaczki całkowicie zakryć nie mogły, tak teraz musiałem się wyprostować, chcąc ponad ten parawanik uzyskać wolne pole widzenia.

W obawie, aby kapelusz o szerokich kresach mię nie zdradził — zrzucam go lekkim ruchem głowy na ziemię. Narobiłem bigosu!...

Z chrzęstem i szelestem poruszyły się krzaki — a przedemną, jak deus ex machina, wyrosła nagle ogromna głowa bawola!

Zdębiałem. Może również zdębiało moje vis à vis — bo znaleźliśmy się niespodzianie tak blisko obok siebie, że tylko marna ścianka wiotkich gałązek nas dzieliła.

Na jakie myślenie czasu nie stało; powagę sytuacji odczułem w źrenicy. Wyłupione, krwią zabiegłe ślepia, szeroko rozwarte nozdrza, kawałek szyi na szerokość dłoni — to wszystko, co w lot pochwyciłem, aby strzelić od ręki. Bluzgnęła krew, okropiwszy krzaki, a bawół zwinął się, jakby chciał upaść; zebrał się jednak w tym samym momencie, zawrócił w tył — i zniknął za najbliższemi krzakami. Byłem tem zajściem tak oszołomiony, że w czasie, gdy robił obrót — a miałem wtenczas strzał lepszy — z drugiej lufy nie poprawiłem.

Przepadło!

Podchodzi tropiciel, przewodnik i chłopak z expresem. Oglądamy miejsce postrzału i mamy już wejść na trop, mocno farbą okropiony, gdy mi coś strzeliło do głowy, aby zmienić broń.

Ledwie odebrałem ekspres od chłopaka i naładowałem go, a tropiciel najostrożniej stawia pierwszy krok, aby mię wyprzedzić — już stary przewodnik — nieco z boku się znalazłszy, ujrzał go i palcem nam wskazuje. Jeszczem się nie zorjentował w sytuacji, a już usłyszałem uderzenie racic o twardy grunt i w tej samej sekundzie widzę, jak wysuwa się z poza krzaków, i truchcikiem ku przewodnikowi zmierza.

C. d. n.



Najpiękniejsze w poleskiej kniei dublety

Wspomnienia z niedalekiej przeszłości

napisał Poleszuk

Ciąg dalszy

Obóz zaległa cisza. Pomiędzy dogasającemi ogniskami przechadzało się dwóch pozostałych, też uzbrojonych w karabiny, bandytów.

Poza kręgiem ognisk rzadły już nocne ciemności i szary letni przedświt przebijał przez zwartą gęstwę leśną.

Wijący się wężowymi skrętami po leśnej trybie płaz ludzki dopełzał plantu kolejowego. Mykita idący w głowie tego węża stanął na skraju lasu przed szeroką, jaśniejszą linją kolejowego plantu. Wężowy pochód zatrzymał się i zamarł w martwych skrętach. „Pułkownik“ szybkim krokiem wyminął wszystkich stojących i doszedł do Mykity.

— Co, już linja kolejowa? — zapytał, rozglądając się przezornie w obie strony pustej i cichej szerokiej linji przeciętej wśród boru.

— Wże dojszły — odpowiedział półgłosem Mykita.

— Wiedi do mosta.

Wąż ludzi znowu ruszył, załamując się pod prostym kątem z trybu na plant kolejowy i już wyprostowany, sunął szybszym krokiem wzdłuż szyn po chrzęszczącym żwirze nasypu.

Po półgodzinnym, szybkim marszu, Mykita uprzedził:

— Wże widnieje mostik.

— Stój! — zakomenderował „pułkownik“.

— Stój — powtórzyli dziesiętnicy.

— Rozchadiś! — padła dalsza komenda — i wyznaczone dziesiątki rozeszły się i zaległy niewidzialne w krzakach po obu stronach plantu.

„Pułkownik“ swoich ludzi poprowadził do mostu.

— Razwinczywać! — zakomenderował — i dwóch ludzi, odkładając karabiny zaczęło przyniesionemi narzędziami majstrować przy szynach.

— Stanawi signał i zakładywaj pietardy! komenderował dalej i w mgnieniu oka pomiędzy szynami, o 50 metrów od mostku, stanął normalny czerwony sygnał alarmujący. Za sygnałem w odległości 50 metrów jedna od drugiej położone na szynach trzy alarmujące petardy.

Przyciszone gwizdnięcie na palcach zebrało dziesięciu operujących, uzbrojonych bandytów przy herszcie. „Komisarz“ nerwowo-czynny, ale mocno zgaszony, na krok nie odstępował „pułkownika“, który poprowadził swój oddziałek w odległe o kilkanaście metrów od sygnału zarośla i tam się ukrył z nimi.

Niczem nie zamącona cisza znowu zapanowała wokoło.

Gdzieś na dalekich bagnach zatrąbiły żórawie... Na

Dr. MICHAŁ MOYSA ROSOCHACKI

Obrazki styryjskie

Obrazek pierwszy.

Siedzę sam w przedziale. Podróżnych wogóle mało. — Jest to pociąg turystyczny, który wyszedł raniutko z Wiednia. Pociąg ten w niedzielę przepełniony turystami odbywającymi jednodniowe wycieczki na Raxalpe i w okolice Semmeringu — aczkolwiek osobowy — zdąża szybko na południe.

Służba kolejowa uprzejma i uczynna, wszędzie czysto i porządek wzorowy. Wegetacja o cztery tygodnie spóźniona. Zwykle o tej porze (22 kwietnia) widziałem na tej przestrzeni ciemno-zielone łąki, kwitnące sady, słowem wiosnę w pełni. — Dziś krajobraz zmieniony: Drzewa ledwie okazują pierwsze pęki. Już w Gloggnitz zaczyna padać śnieg. Łąki i trawniki, które ledwie zaczęły się zielenić — tak łaknące, jak i my wszyscy, ciepła i słońca — pokrywają się wkrótce białym całunem śnieżnym.

Niemiły dość widok przedstawia płaszczyzna za W. Neustadt, tak zwane „Steinfeld“: Nieliczne liche pola, pokryte kamieniami dość gęsto. Po obu stronach trasy kolejowej rzadkie lasy świerkowe o słabej wegetacji, używane do eksploatacji żywicy. Korowanie pni do wysokości 1 metra i zbiór żywicy w blaszanne lub glinianne miseczki, przytwierdzone do pnia, oddaje się tu przeważnie na połowę. Po kilku latach drzewo pozbawione kory zamiera. Wskutek rzadkiego drzewostanu gleba dość silnie zadarniona. Nieestetyczny widok potęguje niezliczona ilość papierków, rozsianych po całym lesie. To resztki, pozostawione przez wczorajszych, niedzielnych wycieczkowców.

Niemiły ten widok zaciera się wkrótce wrażeniem, jaki sprawia czułej duszy myśliwskiej zawsze przepiękny Semmering. Po raz pierwszy od lat wielu widzę nietylko dalsze szczyty ale i całą okolicę w białej szacie zimowej. Tuż za stacją Semmering wjeżdżamy w długi tunel i już jesteśmy w Styrji, mknąc dalej wzdłuż rzeki „Mürz“.

Obserwuję schludne i zgrabne domy, dużo sadów, rozwinięty przemysł żelazny i drzewny wreszcie wysoko stojącą hodowlę bydła. Szczególnie ta ostatnia stanowi przy nieurodzajnej, górskiej ziemi prawie jedyny dochód tutejszego rolnika.

Włościanina tutejszego charakteryzuje nastrój pogodny i swobodny, aczkolwiek brak mu tej przysłowiowej, szerokiej jowialności, znamionującej wiedeńczyka.

Rolnik styryjski, lojalny wobec Rzeczypospolitej austrjackiej, tylko skrycie tęskniący czasem za starym reżimem, nie jest jednak pozbawiony krytycyzmu w stosunku do wielu urządzeń państwa i jego polityki gospodarczej. Chłop styryjski posiada wreszcie wspólne chłopom całego świata znamię, że niczem się zbytnio nie przejmuje. Uczucie głębokiej radości, żalu, smutku lub zdziwienia jest mu obcem, za wyjątkiem głębokiego od-

---

jeszcze bardziej odległych — odpowiedziały inne i tak ten pierwszy tęskny, przeciągły głos budzącego się w zaświatach dnia spływał, jak odwieczne wskazówki zegara-czasu, na ziemię.

Nieśmiałe, zaspane głosiki drobnych leśnych ptasząt zaczęły odzywać się po zaroślach.

Ostry świst szybkiego lotu stadka kaczek przeszył powietrze.

Na wyrębie, przed torem kolejowym, stanęło raptem stadko sarn... Zatrzymały się nagle zaniepokojone i jakby niezdecydowane, ale po chwili stara koza przesadziła nasyp z synami, a za nią reszta i znikły po przeciwnej stronie w zaroślach.

Znowu cisza... przerywana zrzadka sennemi, dyskretnemi odgłosami, budzącej się z nocnego spoczynku przyrody...

Harmonję tej cichej, ale nieubłaganie konsekwentnej i odwiecznie powtarzającej się symfonji dyskretnie przerwały leciuchne drgnienia szyn kolejowych. Jakby lekki dreszcz nerwowy przebiegł po nich... jeden... drugi... trzeci... ale coraz silniejszy.

Wreszcie szyny zadrgały wyraźnym, nieprzerwanym dreszczem, który stopniowo zaczął przechodzić w stały, głuchy huk, biegnący po nich od strony Pińska do Łunińca. Huk ten coraz potężniał i wkrótce wypełnił nietylko całą lukę szerokiej, przeciętej w lesie linji, ale i otaczającą puszczę, urywając się na gołych bagnach.

We mgle porannej zarysowały się niewyraźne kontury pędzącego pociągu, który rósł, olbrzymiał, huczał głucho i wreszcie zupełnie wyraźnie wyrósł w brzasku rodzącego się dnia, pędząc z jakąś żywiołową, niczem zdawało się, nie dającą się powstrzymać, siłą.

Nagle, jak nieoczekiwany piorun, potężny, wybuch pierwszej pedardy wzbił się ponad głuchy huk pociągu i poleciał rozgłośnem echem po pniach drzewnych boru... po paru sekundach drugi... trzeci... i przeraźliwy zgrzyt hamulców gwałtownie zahamowanego żelaznego węża-potwora poleciał po puszczy wślad za echem wybuchów.

Pociąg, gwałtownie zahamowany, zarył się na szynach na kilka metrów przed czerwonym sygnałem.—

Ostry świst rozległ się z zarośli, a po nim gwałtowna, bezładna karabinowa strzelanina rozdarła powietrze i grad kul obsypał zatrzymany pociąg.

Brzęk tłuczonego szkła, dzwonienie karabinowych kul po blaszanych ścianach wagonów zmieszały się z dzikim wrzaskiem, wypadających z krzaków, bandytów.

Pociąg jakby na moment zamarł.

Do sapiącej jeszcze ze zmęczenia lokomotywy podbiegł ze swoimi ludźmi herszt-„pułkownik“.

— Ruki w wirch! — krzyknął do maszynisty i z dwóch

czucia piękna muzyki i w grze i w pieśni. To mu zabezpiecza wprost idealną równowagę umysłu!

Oto w krótkim zarysie charakterystyka tego pracowitego kraju.

Obrazek drugi i ostatni.

Zegar wiejskiego kościółka wybił właśnie godzinę trzecią. Przedemną stromy grzbiet, wzdłuż niego graniczy las z polem. Mamy więc na lewo od wspomnianego grzbietu stromą ubocz pól, na prawo niemniej stromy stok lasów. W lesie tym dominuje świerk 30—40 letni, zaś modrzew w tym samym wieku i młodszy stanowi silną domieszkę. Modrzew i buk, to drzewa ulubione przez głuszczów na zapady.

Wzdłuż stoku prowadzą dwie równoległe drogi leśne, jedna wyżej, druga niżej.

Gęsto zasiane, zwarte, często po kolana sięgające krzaki borówek i ożyn, o grubym pokładzie mchu, umożliwiają ciche zaskakiwanie kogutów. Grubsze gałęzie gubią się w mchu, jak w puchu a myśliwy stąpa elastycznie jak po sprężynowej siatce materacowej. Natomiast bardzo trudne w tym terenie jest odszukanie postrzałka: Tutejsze kundysy chłopskie używane jako gończaki zawodzą oczywiście w rolach tropowców.

Na tym to stoku, zwanym „Guschlhofer" tokuje od lat kilku stary głuszec, bardzo ostrożny i podejrzliwy. Miejsca on nie dotrzymuje wędrując wzdłuż całej uboczy. Młodsze koguty nie odważają się w jego sąsiedztwie tokować. Już w roku 1928 poświęciłem mu trzy podchody bez skutku. Nie inaczej stało się niestety i tym razem.

Księżyc w pełni. Kilkucentymetrowa powłoka śniegu, który pada od wczoraj, nadaje okolicy wygląd zupełnie zimowy. Jestem w pobliżu domniemanego tokowiska starego gracza.

Staję na ścieżce. Wszystkie nerwy zamieniają się w słuch. Wtem słyszę poniżej drogi łomot skrzydeł. Jest to charakterystyczny ruch głuszcza, gdy zmienia gałąź lub drzewo. Nikt inny, tylko mój stary kogut już przed czwartą rano tak niespokojny: Głuszec gra ale bardzo ostrożnie, często tylko kłapie. Cicho schodzimy stromo w dół. Podczas szlifowania zaskakuję. Jeszcze go nie widać, ale musi już być blisko. Już mam nadzieję, że go wreszcie dziś dojdę na strzał. W tem głuchy łomot: Głuszec — oczywiście bez żadnej przyczyny — zapadł na ziemię pomimo tak wczesnej jeszcze pory. Godzina czwarta dochodzi. Czekamy. Tylko przez część sekundy widzę wśród krzaków i chrustu jego wspaniały wachlarz i już mi znika z oczu.

Słyszę, jak jeszcze dwa razy osadza się na drzewie, jednak gry już nie rozpoczyna.

Znikł, jak duch w mrokach świerkowego lasu.



---

stron wskoczyło do niego na parowóz dwóch drabów przykładając mu lufy karabinów do piersi.

Herszt z resztą swoich ludzi pobiegli do pocztowego wagonu i za chwilę zaczęły stamtąd wylatywać na plant kolejowy worki i paczki z cenną korespondencją. Kilkudziesięciu atakujących bandytów otwierało tymczasem z trzaskiem drzwiczki pasażerskich wagonów, skąd zaczęły się rozlegać krzyki przerażonych i bitych kolbami rabowanych podróżnych. Coraz to jakaś walizka, to jakieś zawiniątko wylatywało z wagonu na piasek toru i staczało się w podskokach z nasypu.

Z krzaków rozlegała się rzadka, bezładna strzelanina.

Jakiś pasażer-żydek wyskoczył z wagonu i biegł z małą walizką w stronę krzaków. Wystrzały w tem miejscu zgęstniały, kilka kul rozbryznęły piasek koło uciekającego i ten zawrócił z powrotem do wagonu.

Wewnątrz pociągu wrzała nierówna i właściwie jednostronna walka. Opierających się bito kolbami, błagających o litość odsuwano, żeby nie przeszkadzali, rabowano rzeczy i przetrząsano kieszenie podróżnych.

Do przedziału Areli banda jeszcze nie doszła.

Zrzucony gwałtownem zahamowaniem pociągu z kanapy na ziemię, Arela oprzytomniał ze snu, gdy rzeczy z półek zaczęły się walić na niego, tłuczone szkło szyb zasypało mu głowę, a przerażone hukiem i podniecone strzałami psy zajadać się po podłodze zaczęły Instynktownym ruchem złapał za pijamę zbudzonej nagle od piekielnego huku, trzasku i brzęku Ali, która śpiąc na kanapie od kierunku biegu pociągu, została rzucona inercją pędu na oparcie kanapy i nie spadła z niej, ale przerażona i nieprzytomna usiadła. Gwałtownie szarpnięta przez Arelę spadła obok niego na podłogę, a prawie jednocześnie w tym momencie parę kul rozpruło ściany wagonu i obicie kanapy tuż nad jej głową. Nieprzytomna jeszcze ze snu i przerażona, tuląc się na podłodze, szkłem zasypanej i pakunkami, do Ordy, powtarzała:

— Jezus Marja! Co to? Co to!

— Nic Aluś, Nie bój się — uspokajał ją już oprzytomniały Arela. Zaczęło się polowanie. Ale nie my polujemy, tylko na nas polują. Zdejm pierścionki i zegarek l wsuń pod poduszkę kanapy, a sam zrobił to samo i wydostawszy pugilares, wyjął z niego część banknotów, które zasunął za oparcie, zostawiając część w pugilaresie. Jednocześnie zdjął ze stalika gazetę i zaczął ją składać i rwać na drobniejsze kawałki.

— Co ty robisz? — spytała zdumiona Ali.

— Przygotowuję wykup dla bandytów — objaśnił, nie przestając pośpiesznie manipulować z gazetą i pugilaresem, a gdy go dobrze wypchał gazetami, a te zakrył banknotami, wsunął wszystko z powrotem do kieszeni.

C. d. n.

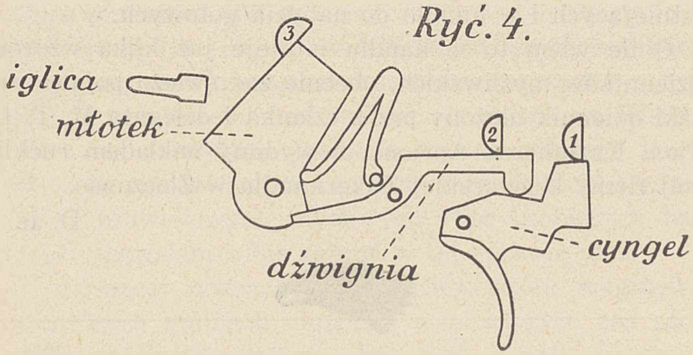
Gen. WALERY MARYAŃSKI

Kilka uwag o konstrukcji modnych drylingów

Ciąg dalszy

Co się konstrukcji bezpieczników tyczy — to są one najrozmaitsze. Ryc. 4 pokazuje t. zw. „Greenerowski bezpiecznik“, składający się z walca, którego część powierzchni jest spiłowana w powierzchnię płaską. Gdy ta powierzchnia płaska wskutek obrotu walca znajdzie się nad cynglem, dźwignią lub młotkiem — a więc w położeniu poziomem — to dotyczące części zamka są wolne i strzał może nastąpić.

Gdy walec swoją okrągłą powierzchnią znajdzie się n a d cynglem, lub dźwignią, wzgl. swoją płaską powierzchnią p r z e d młotkiem — tak jak to na ryc 4 jest uwidocznione — wtedy jest broń zabezpieczona.



Jeśli funkcjonowanie tych trzech rodzajów zabezpieczeń poddamy krytyce, to najmniej gwarancji daje bezsprzecznie zabezpieczenie cyngla (1).

Każde bowiem silne wstrząśnienie, zużycie „spustu“ lub wogóle za lekki spust — może spowodować mimo zabezpieczenia cyngla, wypał.

Już daleko pewniejsze jest zabezpieczenie d ź w i g n i (2) — bo tu tylko ułamanie ząbka w młotku, lub złamanie dźwigni może spowodować mimowolny wystrzał. Ta ewentualność ma jednak dość mało prawdopodobieństwa.

Trzeci rodzaj zabezpieczenia t. j. zabezpieczenie młotka (3) — jest absolutnie pewne, ale w praktyce dopiero przy najnowszych rodzajach bezkurkowej broni zastosowane.

Na tle powyższych zasadniczych zabezpieczeń, istnieje cała plejada rozmaitych mniej lub więcej udanych, zwykle patentem krytych ulepszeń, które pomijam, nie mając zamiaru wkraczać zanadto w szczegóły interesujące raczej rusznikarza, niż myśliwego.

W drylingach u nas w kraju spotykanych widzimy najczęściej zabezpieczenie cynglów, jako najłatwiejsze do wykonania i jako najtańsze.

Bezpiecznik zamykający wprost młotki (3), ma zastosowanie zwykle przy drylingach wysokiej klasy.

4. Do dalszych warunków racjonalnej konstrukcji modnego drylinga, należy możność dania 3 strzałów b e z p o ś r e d n i o p o s o b i e, bez odejmowania broni od twarzy, przyczem chwyt „przestawiania na kulę“ musi być — co się wysiłku fizycznego tyczy — ograniczony do minimum, lub zupełnie wyeliminowany.

Konstrukcja przeważnej części modnych, trzyzamkowych, bezkurkowych drylingów pozwala na pierwszy warunek t. j. na 3 strzały bez odejmowania broni od twarzy. Jednak odbywa się to z reguły w ten sposób, że po strzale kulowym trzeba suwak znowu cofnąć w pierwotne położenie, gdy ma być dany strzał z prawej lufy — albo po strzale z tejże trzeba suwak przesunąć naprzód, gdy się ma zamiar strzelić kulą.

Każdy przyzna, że ten manewr ze suwakiem — choć trwa bardzo krótko — może jednak być przyczyną opóźnienia strzału.

Najnowsze ulepszenia.

W Niemczech, które są właściwą ojczyzną drylingów i skąd wszystkie ich ulepszenia wyszły — nie spoczęli technicy broni na laurach, gdy skonstruowali doskonałe drylingi kurkowe o stalowych lufach, lecz wytknąwszy sobie jasno warunki, jakim idealna konstrukcja bezkurkowego drylinga odpowiadać powinna — pracowali szereg lat z wrodzoną im sumiennością, dokładnością i solidnością — no i z bezprzecznym wysokim talentem konstrukcyjnym — nie mówiąc już o gruntownej fachowości — i osiągnęli rezultat istotnie od idealnego nie bardzo daleki — podczas, gdy w Anglji, Ameryce i Belgji — mimo bardzo wysokiego poziomu fabrykacji broni myśliwskiej — dryling nigdy nie cieszył się zbytnią sympatją i wyrób jego był — że tak powiem — na drugiem miejscu.

Pepinierą drylingów w Niemczech, jest Suhl w Turyngji a fabryki światowej sławy — jak: Sauer, Habermann-Schmidt, Heim, Jäger, Nimrod, Römerwerke i t. d. osiągnęły na polu ulepszeń drylingów, znakomite rezultaty.

Na czoło jednak wszystkich wysunęła się firma Sempert u. Krieghoff — stosunkowo, jak na Suhl niedługo istniejąca, bo dopiero od r. 1885 t. j. od dwóch generacyj (podczas, gdy np. Sauer od r. 1751 istnieje), która skonstruowała dryling „Neptun“, pobijający pomysłowością i dojrzałością konstrukcji wszystkie inne dotąd znane.

Problem absolutnego zabezpieczenia przeciw „podwójnemu strzałowi“ — rozwiązała ona w zadziwiająco prosty sposób, biorąc za zasadę, że najlepiej, bo zupełnie eliminuje się tę fatalną ewentualność — jeśli z a m e k k u l o w y (wzgl. lufy dolnej) w o g ó l e p r z e z o t w a r c i e b r o n i n i e b ę d z i e s i ę n a c i ą g a ł*); dopiero, gdy myśliwy zechce strzelić z dolnej lufy, naciska, nie odejmując broni od twarzy, kciukiem prawej ręki małą dźwignię, znajdującą się obok lewego zamka.

Ten chwyt — zupełnie lekko i łatwo wykonalny — powoduje napięcie sprężyny w zamku kulowym i podnosi równocześnie celownik, wskazując przez to, że dolna lufa gotowa jest do strzału.

Po strzale kulą opada celownik automatycznie i d o s t r z a ł u j e s t g o t o w a p r a w a l u f a. D. n.

*) Myśl tę próbował po raz pierwszy Sauer w czyn wprowadzić — ale bez szczególnego rezultatu; rozwiązanie — zanadto skomplikowane — nie udało się.

Dzienniki myśliwskie

Nie pamiętam, by kto pisał kiedy w „Łowcu" naszym o dziennikach myśliwskich, a jednak ich prowadzenie lub nieprowadzenie jest też ważnym objawem kultury łowieckiej.

Sądzę, że rozróżnić należy dwa rodzaje dzienników myśliwskich. Pierwszy rodzaj nazwałbym „przedmiotowym". W dzienniku takim właściciel lub dzierżawca łowiska notuje pod datą dnia każdą sztukę zwierzyny ubitej w swojem łowisku, przyczem najczęściej w dzienniku takim znajduje się i przedziałka dla zanotowania nazwiska myśliwego, który daną zwierzynę ubił.

Dziennik taki jest wiernem odbiciem „życia rewiru". Wskazuje on jaka zwierzyna stała, przechodnia lub przelotna w nim się znajduje lub go nawiedza, odzwierciadla lata powodzeń rewiru i lata jego klęsk, opowiada, w którym roku nalot ptactwa przelotnego był silniejszy lub słabszy i daje wiele innych wskazówek, zwłaszcza, jeżeli po przedziałkach wymieniających poszczególne gatunki zwierzyny dodamy w dzienniku takim, jeszcze obszerniejszą przedziałkę pod napisem „uwagi", gdzie notować można najrozmaitsze szczegóły, jak stan pogody, ilość strzelb w polowaniu udział biorących, ilość naganiaczy, wziętych miotów, ich przestrzeń i t. p. Sądzę, że dzienniki takie, prowadzone należycie, przechodzące niejako z „ojca na syna", mogłyby być z czasem znakomitym materjałem do historji naszego łowiectwa i dlatego powinne one „pokryte patyną wieków" znaleść się raczej w archiwach Towarzystw łowieckich, niż w prywatnem posiadaniu, gdzie we wielu wypadkach (np. po sprzedaży majątku lub przejścia tegoż w ręce syna lub wnuka niemyśliwego) mogą zaginąć lub leżeć w zapomnieniu, aż do zupełnego zbutwienia.

W dzienniku takim powinien być też osobny dział finansowy, gdzieby w rubrykach odpowiednich można wpisywać dochody z polowania otrzymywane i wydatki na nie łożone.

Drugi rodzaj dzienników myśliwskich to dziennik „podmiotowy" czyli osobisty myśliwego, w którym myśliwy notuje każdą sztukę ubitej przez siebie zwierzyny lub raczej nawet każdy dzień przez się, choćby z ujemnym skutkiem, przepolowany.

W dzienniku takim można też notować spostrzeżone szczegóły z z a c h o w a n i a się zwierzyny, z przelotu ptactwa i t. p. Oczywiście, że w notatkach takich jako prowadzonych nie dla oznaczonego jednego rewiru, lecz dla osoby jednego myśliwego, powinna się znachodzić i przedziałka, w którejby można wpisać czyto to gdzie zwierzynę ubito czyto gdzie uczyniono daną obserwację. W notatkach takich powinna też być przedziałka na ilość oddanych strzałów, mogą się znajdować i inne jeszcze przedziałki stosownie do upodobań i potrzeby osobistej używającego dziennik.

Wartość takiego dziennika dla szerszego ogółu myśliwskiego zawisłą jest oczywiście od intelektu prowadzącego dziennik; dla samego autora jednak będzie taki dziennik miał zawsze wartość nietylko pamiętnika przeżyć myśliwskich, lecz także zbioru, nawet mimowoli ponotowanych, doświadczeń, które dla niego nieraz dopiero po latach okażą się cennemi.

Z tego cośmy wyżej powiedzieli wynikałoby, że właściwie każdy myśliwy powinienby sobie sam obmyśleć swój dziennik myśliwski i bądź sam go sobie sporządzić (porubrykować) bądź kazać podrukować odpowiednio porubrykowane arkusze, ale w pierwszym wypadku będzie on miał do czynienia z pracą dość nudną, zaś w drugim założenie takiego dziennika kosztowałoby dość drogo.

Obawiam się jednak, że trudności takie niejednego mogłyby odstraszyć od zaprowadzenia dziennika, a tymczasem byłoby pożądanem, by każdy, choćby najskromniejszy myśliwy swój osobisty dziennik myśliwski prowadził.

Kto zatem niema chęci sam dla siebie dziennik myśliwski obmyśleć, ten powinien sięgnąć do wzorów już istniejących i w handlu do nabycia gotowych.

O ile wiem to w handlu istnieje już kilka wzorów dzienników myśliwskich, obecnie zaś świeżo pojawił się taki dziennik ułożony przez członka i delegata M. T. Ł. Pana Kazimierza Ansiona, a wydany nakładem ruchliwej firmy księgarskiej Zukerkandla w Złoczowie.

D. n.

Korespondencje

Złoczów, 30 kwietnia 1929

Polowania „Polskiego Towarzystwa łowieckiego w Złoczowie", którego mam zaszczyt być prezesem, w ubiegłym sezonie nie udały się. W drugiej połowie listopada deszcze, a w grudniu i styczniu zawieje śnieżne i głębokie śniegi w lasach uniemożliwiały polowania. Odbyło się 10 polowań gremjalnych, dopisały jednak tylko dwa pierwsze: 27 października 1928 w Skwarzawie, gdzie w 11 strzelb ubiliśmy 61 zajęcy, 165 strzałami i 3 listopada 1928 w Olszanicy, gdzie w 16 strzelb ubiliśmy 50 zajęcy i 5 kuropatw. Na wzmiankę zasługują też polowania w Sassowie, wigilijne w Poczapach i w żukowie. Na tem ostatniem przy szalonej zawiei w 5 strzelb ubito 16 zajęcy, 1 rogacza, a nadto spudłowano 1 lisa, dzik zaś uszedł nie strzelany.

Stan zajęcy (poza gminą Snowicz) stwierdziliśmy dobry, a w okolicach Stadni, Skwarzawy i Olszanicy nawet bardzo dobry. Polowania na nie rozpoczęliśmy dopiero 27 października 1928.

Sarny mamy w dwu rewirach, po kilkanaście sztuk w każdym. Odstrzelono tylko jednego rogacza, w zimie zaś wskutek mrozu zginął 1 rogacz i 1 siuta. Dzików i lisów obserwowałem znacznie mniej, aniżeli w ubiegłych latach. Kuropatwy były już liczne w każdej gminie. Polowaliśmy na nie z ograniczeniem do 6 sztuk na członka,

przyczem każdy miał wyznaczoną gminę, w której mógł dokonać tego odstrzału. Przepiórek było bardzo mało.

Z ptactwa wodnego i błotnego krzyżówek było dość dużo, natomiast cyranek bardzo mało. Nalot dubeltów był tak obfity, jakiego od kilkunastu lat w naszych okolicach nie zaobserwowałem. (Ja sam przed wyżłem ubiłem 65). Natomiast nalot chróścieli był słaby i znacznie spóźniony.

Starałem się o przeprowadzenie statystyki ubitej przez członków naszego towarzystwa zwierzyny i o ile podawane mi cyfry były ścisłe, to odstrzelono od 1 czerwca 1928 do 1 lutego 1929 na terenach towarzystwa: 1 dzika, 1 rogacza, 283 zajęcy, 123 krzyżówek, 50 kuropatw, 145 krzyków, 80 przepiórek, 127 chróścieli, 6 gołębi, 75 dubeltów, 3 bekasiki, 2 kulony, 35 cyranek, 22 słonek, 5 kur wodnych, 11 jastrzębi, 56 wron, 30 kruków i srok.

Obszar terenów dzierżawionych przez towarzystwo przenosi 20,000 ha, strażników łowieckich mamy 16 z płacą przeszło 1,500 zł.

Przystępując do omówienia szkód, jakie w naszych zwierzostanach wyrządziła ostatnia zima, zaznaczyć muszę, że nie jestem zwolennikiem trąbienia na wielki alarm bez należytego zbadania sprawy. Dlatego też dopiero po szczegółowych wywiadach przez straż łowiecką, przez prawidłowych myśliwych i po osobistych badaniach pozwalam sobie zabrać w tej sprawie głos.

Najwięcej ucierpiały kuropatwy, które wyginęły w niektórych gminach zupełnie, w niektórych zaś zachowało się ich zaledwie po kilka sztuk. Resztki te oceniam na około 5% stanu przed zimą.

Sarny ucierpiały znacznie mniej i przynajmniej trzy czwarte stanu przedzimowego zachowało się i żyje. Najmniej szkody poniosły zające. Mimo zarządzonych poszukiwań nie znaleziono ani jednego zająca nieżywego, a na drugi dzień po ostatniej ponowie w marcu widziałem w jednym rewirze leśnym ścieżki formalnie udeptane przez zające, jak za dawnych dobrych czasów. Mam też pewne relacje, że marczaki dobrze się chowają mimo zimna. Gdy nadto weźmiemy pod uwagę, że w ostatnim sezonie aura i głębokie śniegi uniemożliwiały polowania wogóle, a na deptaka w szczególności, to sądzę, że o zające możemy być spokojni.

Wobec tego uważam za konieczne zamknięcie polowania na kuropatwy w naszym powiecie na okres przynajmniej dwu lat. Czas ochrony rogaczy należałoby rozszerzyć. Natomiast odnośnie do zajęcy nie widzę potrzeby wydawania jakichkolwiek zarządzeń, uważam jednak za wskazane rozpoczynanie polowania na nie od listopada, co zresztą w naszem towarzystwie od wielu lat stale jest praktykowanem.

Z rodzajów kłusownictwa to tylko wnykarstwo kwitnie w naszym powiecie w całej pełni, a wyłapywanie kuropatw w zimie przez wieśniaków w stodołach jest powszechną plagą.

Władze nasze miejscowe w dowód troski o łowiectwo uszczęśliwiły nas w b. r. podatkiem od broni.

Wedle wykazów nadesłanych przez dzierżawców polowań tut. Starostwu odstrzelono w naszym powiecie w ubiegłym sezonie: 2 dziki, 12 rogaczy, 23 lisów, 1152 zajęcy, 30 bażantów, 156 kuropatw, 423 krzyżówek, 16 gołębi, 139 przepiórek, 182 chróścieli, 97 dubeltów, 92 słonek, cyranek 35, 1 gęś, 14 kulonów, 185 kszyków, 5 kurek wodnych, 2 orły, 20 łasic, 19 tchórzów, 3 kuny, 234 jastrzębi, 309 wron i sojek, 171 srok, 119 kotów i psów.

Kończąc moje sprawozdanie nie mogę pominąć milczeniem faktu, że apel mój skierowany do członków naszego towarzystwa, aby używali tylko amunicji wyrobu polskiego, a w szczególności gilz i nabojów „Pocisk„ odniósł skutek w całej pełni, za co Im na tem miejscu serdecznie dziękuję. *Kazimierz Ansion* del. powiat.

Zakopane, 1. maja 1929

„Wilki w Tatrach"

W „Dzienniku Poznańskim" z dnia 20 kwietnia 1929 r. przeczytałem wzmiankę o pojawieniu się wilków pod Zakopanem. Nawiasem mówiąc wzmiankę tę powtórzyły i inne dzienniki.

Zarówno sama wzmianka jak i sposób jej zredagowania, musi wywołać uśmiech pobłażania i ironji na ustach każdego, kto cośkolwiek rozumie się na łowiectwie. Niewątpliwie też żaden myśliwy wzmianką tą się nie przejął. Mogą istnieć „kaczki dziennikarskie", dlaczego nie mają istnieć podobne wilki?

Ale oto czytając ostatni numer (Nr. 17, 17 kwiecień 1929) „Łowca Polskiego" znajduję w nim prawie dosłowny przedruk tej wiadomości dziennikarskiej, który brzmi jak następuje:

WILKI W TATRACH. — Zarząd lasów ordynacji fundacji Kórnickiej w Zakopanem został zaalarmowany przyniesioną przez jednego z górali wieścią, że koło leśniczówki na Zazadniej, pokazało się stado wilków. Funkcjonarjusze leśni udali się zaraz w lasy i rzeczywiście spotkano koło Porońca kilka sztuk wilków. Leśnikowi Andrzejowi Krzeptowskiemu udało się zastrzelić największą sztukę, reszta zaszyła się w gęstwiny niedostępne".

Gdyby „Łowiec Polski" wzmiankę tę wydrukował w dziale „Humor myśliwski", to bezwątpienia znalazłaby się ona właśnie tam, gdzie powinna się była dostać. Co więcej byłby to jednen z lepszych dowcipów tego działu, a co ważniejsza bodaj jedyny nowy.

Niestety jednak redakcja potraktowała wiadomość poważnie, co wszystkim, którym łowiectwo polskie jest drogie i bliskie, musi nasuwać smutne refleksje. Nie mogę się też powstrzymać od napisania na ten temat kilku uwag, które z wielu względów uważam za wskazane.

Przedewszystkiem więc chodzi mi o istotę wzmianki. Wiadomość podobna, wydrukowana w piśmie codziennem nie wzbudza specjalnego zainteresowania i zaufania. Natomiast rzecz się ma zupełnie inaczej z pismem

specjalnem, jakim winien być „Łowiec Polski". Zarówno myśliwy, jak i uczony — zoolog, czy geograf, ma prawo mieć zaufanie do organu Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich. Ma też prawo te dane, które tam znajduje, traktować jako pewne. — A więc takie wzmianki z jednej strony dyskredytują nasz organ, z drugej zaś mogą się stać przyczyną wprowadzania do fizjografji kraju błędnych, nieścisłych danych.

To dotyczy nauki. A teraz inna rzecz, która wielu myśliwych musiała specjalnie dotknąć. Jestto sposób zredagowania wzmianki. Bo że została ona przepisana, to sprawy bynajmniej nie ratuje.

Czyż cały ten opis nie wygląda na humoreskę? Czy gdyby rzeczywiście pokazały się wilki w Tatrach, to czyby walka z niemi przybrała właśnie taki przebieg i czy „Łowiec Polski" mógłby to w taki sposób opisać? Początkowo chciałem podkreślić w tej wzmiance poszczególne zwroty, ale jest to niemożliwem, podkreślić należy poprostu wszystko. Bo proszę zwrócić uwagę na „alarm", na skutek którego funkcjonarjusze leśni „udają się zaraz w lasy", we wskazanem miejscu spotykają rzeczywiście wilki i „leśnikowi" Krzeptowskiemu „udaje się zastrzelić największą sztukę". Reszta wilków „zaszywa się w gęstwiny niedostępne".

Naturalnie, ten kto to pisał nie ma najmniejszego pojęcia o myślistwie. Ale wszak rzeczy, które podobne braki wykazują, „Łowiec Polski" drukować nie powinien.— Przecież właśnie dlatego czasopismo to podpisywane jest przez kilkunastu wybitnych myśliwych, aby istniała gwarancja, że będzie ono utrzymane na odpowiednim poziomie.

Jest to naturalnie niedopatrzenie. Ale takich niedopatrzeń być nie powinno. Najlepiej zaś będzie jeśli „Łowiec Polski" poprzestanie na wiadomościach pewnych, sprawdzonych. Przedrukowywanie wiadomości z pism codziennych w żadnym razie nie powinno mieć miejsca.

Tych kilka uwag napisałem nie dlatego, bym chciał dyskredytować „Łowca Polskiego", którego sam mam zaszczyt być współpracownikem i którego jestem największym przyjacielem. To właśnie skłoniło mnie do zabrania głosu. Poprzestaję zresztą na skomentowaniu tylko tych kilku wierszy, będąc pewny, że będą one ostatniemi z tych, które nigdy nie powinny były być wydrukowane w organie całego łowiectwa polskiego.

A teraz kilka słów ostatecznego sprostowania. Wilków naturalnie nie było. Niema ich w Tatrach od lat kilkudziesięciu.

Strzelec Zarządu Dóbr Zakopane — Krzeptowski w owym czasie zastrzelił na Wierch Porońcu psa „wilka". Nie jest to naturalnie pierwszy pies, którego zastrzelili on i inni strzelcy Fundacji, a między temi psami były już i „wilki". Dlaczego ten pies właśnie został wyróżniony przez dziennikarzy i skąd się oni o nim dowiedzieli, nie wiem.

Janusz Domaniewski

Gródek Jagielloński, 4 maja 1929

W Łowcu z dnia 1 maja b. r. wspomniałem o opuszczonej starej chałupie, która służyła lisom za lokal weselny.

Obecnie dowiaduję się, że w podobnej ruinie na skraju wsi Wołczuchy tut. powiatu położonej, przezimowało stadko kuropatw z ośmiu sztuk złożone i dopiero pod wiosnę (o ile kwiecień tegoroczny do wiosny zaliczyć można było), tam je spostrzeżono.

Czem to biedactwo jednak przez kilka tygodni w tej pustce się żywiło, Bóg i ono wie jedynie, a w ogóle do cudów zaliczyć trzeba, że w ten sposób o głodzie i chłodzie na wolności tę zimę przetrzymało.

Dr. Malsburg

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału w dniu 6 maja b. r., zamieszczone w nrze 10-tym „Łowca" uzupełniamy tem, że Wydział nadał na wniosek Zarządu Dóbr w Bulowicach, względnie ich właściciela i delegata M. T. Ł. Edmunda br. Larischa, odznakę honorową Maciejowi Wierońskiemu, leśniczemu w tychże dobrach.

P. T. CZŁONKOM

zamieszkałym we Lwowie do wiadomości i ścisłego przestrzegania.

Celem zapobieżenia ewentualnym nadużyciom, przy inkasowaniu wkładek członkowskich, inkasent Towarzystwa winien na żądanie okazać legitymację upoważniającą do zbierania wkładek zaopatrzoną podpisem i pieczęcią Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32